



CARYCA

ELLEN ALPSTEN

Przełożyła
Daria Kuczyńska-Szymala

MARGINESY

Tsarina

COPYRIGHT © Ellen Alpsten, 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Daria Kuczyńska-Szymala
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,
Warszawa 2022

Dla Tobiasza. Dziękuję.



Rodzina Piotra Wielkiego

- Piotr Wielki, car i imperator Wszechrusi; znany także jako Piotr Aleksiejewicz Romanow, batuszka car, Piotr I
- Marta Skowrońska, kochanka, a później żona Piotra Wielkiego; znana także jako Katarzyna Aleksiejewna, Katerinuszka, caryca i imperatorowa Wszechrusi
- Eudokia, pierwsza żona Piotra, matka Aleksego, była caryca carewicz Aleksy, syn Piotra i jego prawowity dziedzic
- Szarłota Krystyna Zofia Brunszwik, żona Aleksego
- Pietruszka, syn Aleksego i Szarłoty
- carówna Anna, carówna Elżbieta i carówna Natalia, córki Piotra i Katarzyny
- Jekaterina, córka Piotra i Katarzyny
- Piotr Piotrowicz, zwany Pietruszką, wybrany przez Piotra Wielkiego na następcę, syn jego i Katarzyny
- regentka Zofia, przyrodnia siostra Piotra
- car Iwan, przyrodni brat Piotra
- caryca Praskowia Iwanowna, wdowa po Iwanie
- carówna Katarzyna Iwanowna, carówna Anna Iwanowna, córki Iwana, zwane carównami Iwanownymi
- książę Kurlandii, mąż carówny Anny Iwanowny
- książę Meklemburgii, mąż carówny Katarzyny Iwanowny
- książę Holsztynu, mąż carówny Anny, córki Piotra i Katarzyny

Rosyjski dwór carski

- hrabia Aleksander Daniłowicz Mienszykow, generał armii Piotra i jego zaufany przyjaciel, zwany także Alekaszą
- Daria Arseniewa, szlachcianka, kochanka, a następnie żona Mienszykowa
- Barbara Arseniewa, siostra Darii
- Rasja Mienszykowa, siostra Aleksandra Daniłowicza Mienszykowa
- Antonio Devier, mąż Rasji Mienszykowej, szef tajnej służby Piotra
- Teofan Prokopowicz, arcybiskup Nowogrodu, spowiednik Piotra
- książęta Dołgorucy, zwolennicy syna Aleksego, Pietruszki
- Blumentrost, Paulsen i Horn, lekarze Piotra
- Anna Mons, dawna niemiecka kochanka Piotra
- Wilhelm Mons, jej brat, dworzanin i kochanek Katarzyny
- Maria Hamilton, dama dworu, kochanka Piotra
- feldmarszałek Borys Piotrowicz Szeremietiew, główny dowódca Piotra

Alicja Kramer, niemiecka kochanka Szeremietiewa, później dama dworu hrabia Piotr Andriejewicz Tołstoj, dworzanin i zaufany Piotra Aleksandra Tołstoj, siostra hrabiego Piotra Andriejewicza Tołstoja, dama dworu Katarzyny
Paweł Jagużyński, szambelan dworu Piotra, członek tajnej rady
Andriej Ostermann, kanclerz Piotra
Jakowlewna, czerkieska służąca Katarzyny
Boj-baba, praczka, kochanka Piotra
Eufrozyna, praczka, kochanka Aleksego
Andreas Schlüter, mistrz budowlany i architekt, twórca Bursztynowej Komnaty
Domenico Trezzini, architekt Sankt Petersburga

Inflanty

Krystyna, Fiodor i Greta, przyrodnie rodzeństwo Marty
Tania, macocha Marty
Wasył Grigorowicz Piotrow, rosyjski kupiec w Wałku, który kupił Martę na służącą
Praskaja, kochanka Wasyla
Nadia, gospodyni Wasyla
Olga, służąca Wasyla
Grigorij, stajenny Wasyla
Ernst i Karolina Glückowie, luterański pastor i jego żona
Anton, Fryderyk i Agneta Glück, ich dzieci
Johann Trubach, szwedzki dragon, pierwszy mąż Marty

Europa

król Szwecji Karol XII, wróg Piotra w wielkiej wojnie północnej
marszałek Rehnskjöld, główny dowódca szwedzkiej armii
August Mocny, elektor saski, sojusznik Piotra
Fryderyk Wilhelm, król Prus, król żołnierz
król Francji Ludwik XIV
król Francji Ludwik XV
Jean-Jacques Campredon, francuski ambasador w Rosji
książe Dymitr Kantemir z Mołdawii
księżniczka Maria Kantemir, jego córka, kochanka Piotra

NIE ŻYJE. MÓJ UKOCHANY MĄŻ, potężny car Wszechrusi, umarł – i to w samą porę.

Tuż przed tym, jak przyszła po niego śmierć, Piotr zażądał, by do sypialni w Pałacu Zimowym przyniesiono mu pióro i papier. Moje serce zamarło. On nie zapomniał, pociągnie mnie ze sobą. Gdy po raz ostatni stracił przytomność, a ciemność mocniej przyciągnęła go do swej piersi, pióro wysunęło mu się z palców. Czarny inkaust rozprysł się na zbrudzoną pościel, czas wstrzymał oddech. Jakąż sprawę chciał załatwić car tym ostatnim wysiłkiem swego wielkiego ducha?

Znałam odpowiedź.

Świece w wysokich lichtarzach wypełniały komnatę ciężkim zapachem i migotliwym światłem; ich blask sprawiał, że cienie tańczyły, a postaci utkane na flamandzkich arrasach ożywały. Ich surowe oblicza wyrażały ból i niedowierzanie. Głosy ludzi, którzy przez całą noc stali za drzwiami, zagłuszał lutowy wicher, gniewnie kołacząc okiennicami. Czas płynął powoli, niczym oliwa wylana na wodę. Piotr odcisnął się na naszych duszach tak, jak jego pierścień odciskał się w gorącym wosku. Wydawało się niemożliwe, by świat nie zatrzymał się w swych koleinach, gdy umrze. Mój mąż, najsilniejsza wola, której Rosja kiedykolwiek została poddana, był kimś więcej niż naszym władcą. Był naszym losem. I nadal wyznaczał mój.

Doktorzy – Blumentrost, Paulsen i Horn – stali w milczeniu wokół łóża Piotra i wpatrywali się w niego z przestraczeniem. Podane odpowiednio wcześniej lekarstwo za pięć kopiejek mogło go uratować. Dzięki Bogu konowałam zawsze brakowało zdrowego rozsądku.

Nawet nie patrząc, czułam, że obserwuję mnie Teofan Prokopowicz, arcybiskup Nowogrodu, i Aleksander Mienszykow. Prokopowicz zmieniał wolę cara w wieczność i Piotr wiele mu zawdzięczał. Natomiast Mienszykow zyskał swój majątek i swoje wpływy wyłącznie za sprawą Piotra. Co ten mówił, gdy ktoś próbował szargać przy nim nazwisko Aleksandra Daniłowicza, odnosząc się do jego podejrzanych interesów? „Mienszykow to Mienszykow, cokolwiek by uczynił!” – i to kończyło temat.

Doktor Paulsen zamknął oczy cara i skrzyżował jego ręce na piersi, ale nie wyjął z jego dłoni papieru, ostatniej woli Piotra. Te dłonie, które zawsze wydawały się za delikatne jak na jego wysokie i potężne ciało, znieruchomiały, stały się bezsilne. Zaledwie dwa tygodnie temu zanurzał te dłonie w moje włosy i okręcał je sobie wokół palców, wdychając zapach wody różanej i drzewa sandałowego.

– Moja Katarzyno – powiedział, nazywając mnie imieniem, które sam mi nadał, i uśmiechnął się do mnie. – Wciąż jesteś piękna. Lecz jak będziesz wyglądać w klasztorze, ogolona na łyso? Tamtejszy chłód złamie twojego ducha, choć jesteś silna jak koń. Wiesz, że ta biedaczka Eudokia wciąż do mnie pisze, błagając o dodatkowe futro? Jak dobrze, że ty nie umiesz pisać! – dodał ze śmiechem.

Minęło trzydzieści lat, odkąd jego pierwsza żona Eudokia została wysłana do klasztoru. Widziałam ją kiedyś. W jej oczach płonęło szaleństwo, ogolona głowa pokryta była guzami i krostami od chłodu i brudu. Jedynym towarzystwem Eudokii była garbata karlica, która posługiwała jej w klasztornej celi. Piotr kazał tej nieszczęsnej istocie uciąć język, więc na jęki i lamenty Eudokii mogła odpowiadać jedynie bełkotem. Słusznie zakładał, że ujrzenie Eudokii napędzi mi strachu do końca życia.

Przyklękłam przy łożu cara, a trzech doktorów wycofało się na skraj komnaty, niczym przepędzone z pola wrony. Nieszczęsne ptaki, których Piotr tak bardzo bał się w ostatnich latach swego życia. Ogłosił polowanie na nie w całym imperium. Chłopi łapali je dla nagrody, zabijali, skubali i piekli. Nic to carowi nie pomogło: w nocnej ciszy widmowy ptak wślizgiwał się przez obite materią ściany i zamknięte drzwi carskiej sypialni. Jego hebanowe skrzydła przesłaniały światło, a w ich chłodnym cieniu krew na dłoniach Piotra nigdy nie wysychała.

Palce cara wciąż nie były palcami trupa, były miękkie i nadal ciepłe. Na chwilę strach i gniew ostatnich miesięcy wymknęły się z mojego serca jak złodziej nocą. Ucałowałam dłonie Piotra, wdychając znajomy zapach tytoniu, atramentu, skóry i mieszanki perfum, którą robiono w Grasse wyłącznie dla niego.

Wyjęłam papier z jego dłoni. Łatwo się wysunął, choć z lęku krew stężała mi w żyłach. Jakby je pokrył szron, były jak przemarznięte gałęzie drzew podczas nadbałtyckiej zimy. Jednak ważne było, by pokazać wszystkim, że tylko ja mam prawo to zrobić – ja, jego żona i matka dwanaściorga jego dzieci.

Papier zaszeleścił mi w palcach, gdy go rozkładałam. Nie po raz pierwszy wstydziłam się, że nie potrafię czytać. Podałam ostatnią wolę mego małżonka Teofanowi Prokopowiczowi. Przynajmniej Mienszykow wiedział równie mało jak ja. Od chwili, gdy Piotr zgarnął nas pod swoje skrzydła, rzucając na nas swój czar, byliśmy niczym dwoje dzieci, które kłócą się o uwagę i miłość ojca. Batuszka car, jak nazywał go lud. Nasz ojczulek car.

Prokopowicz musiał się domyślać, co zaplanował dla mnie Piotr. To stary lis z ostrym jak brzytwa umysłem, obeznany z królestwami zarówno ziemskimi, jak i niebieskim. Daria zarzekała się kiedyś, że ma w bibliotece trzy tysiące ksiąg. Błagam, po co jednemu człowiekowi trzy tysiące ksiąg? Papier lekko spoczywał teraz w jego pokrytych starczymi plamami dłoniach. Ostatecznie to on pomógł Piotrowi spisać dekret, który zszokował nas wszystkich. Car odrzucił w nim wszelkie zwyczaje i wszelkie prawa: chciał sam wyznaczyć swojego następcę i wolał pozostawić imperium zasługującemu na tę godność obcemu niż własnemu nieudanemu dziecku. Aleksemu...

Jakież on był wystraszony, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wykapaną matką, Eudokią, taki sam rozmyty wzrok i wysokie, wypukłe czoło. Nie mógł usiedzieć prosto, bo Mienszykow do krwi obił mu plecy i siedzenie. Aleksy zbyt późno pojął swój los: w dążeniu do stworzenia nowej Rosji car nie oszczędzi nikogo, ani siebie, ani swojego jedyne go syna. „Nie byłeś krwią z mojej krwi, Aleksy, ani ciałem z mego ciała...” I dlatego mogłam spokojnie spać. Piotra natomiast dręczyły od tamtego dnia koszmary.

Serce łomotało mi pod lekko zasnurowanym gorsetem – dziwiłam się, że jego echo nie odbija się od ścian – lecz odpowiedziałam na spojrzenie Prokopowicza ze spokojem, na jaki tylko

potrafiłam się zdobyć. Zaciśnęłam mocno palce stóp w pantoflach, bo za nic nie mogłam zemdleć. Uśmiech Prokopowicza był blady jak prosfora*, którą podawał w cerkwi. Znał tajemnice ludzkich serc, a szczególnie mojego.

– Czytajcie, Teofanie – powiedziałam cicho.

– Przekazać wszystko... – przerwał, podniósł wzrok i powtórzył – ...przekazać wszystko...

Temperament Mienszykowa dał o sobie znać: zerwał się z miejsca, jakby ktoś smagnął go batem, jak w starych dobrych czasach.

– Komu? – warknął na Prokopowicza. – Mówcie, Teofanie, komu?

Oddychałam z trudem. Futro nagle zaczęło parzyć mi skórę. Arcybiskup wzruszył ramionami.

– To wszystko. Car nie dokończył zdania. – Cień uśmiechu przebiegł przez pokrytą zmarszczkami twarz Prokopowicza. Piotr uwielbiał stawiać wszystko na głowie. I, o tak, wciąż trzymał nas w garści, nawet z za grobu. Teofan spuścił wzrok. A ja powróciłam do życia. Nic nie zostało przesądzone! Piotr nie żył, jego następcą nie został wskazany. Ale to nie znaczyło, że jestem bezpieczna. Wręcz przeciwnie.

– Co? To wszystko? – Mienszykow wyrwał papier z rąk arcybiskupa. – Nie wierzę! – Wbił wzrok w pismo, lecz Prokopowicz odebrał mu testament.

– Och, Aleksandrze Daniłowiczu. I tyle masz z tego, że zawsze miałeś coś lepszego do roboty niż nauka czytania i pisanie.

Mienszykow już miał mu ostro odpowiedzieć, lecz ja natychmiast im przerwałam. Mężczyźni! Czy to jest odpowiednia chwila na skakanie sobie do oczu? Musiałam działać jak najszybciej, jeśli nie chciałam przeżyć reszty swoich dni w zakonie, zostać wywieziona na saniach na Syberię albo skończyć twarzą do dołu

* Prosfora – wytwarzane z mąki, soli, wody i zakwasu pieczywo wykorzystywane w obrzędzie przeistoczenia w Kościele prawosławnym i Kościołach katolickich wschodnich (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

w Newie, unosząc się pośród grubej kry, z ciałem połamanym i rozdartym przez wielkie bryły lodu.

– Teofanie, czy car umarł, nie wyznaczysz swojego następcy? – musiałam się upewnić.

Prokopowicz pokiwał głową. Oczy nabiegły mu krwią po wielu godzinach czuwania przy łożu władcy. Tak jak wszyscy popi nosił prostą fryzurę – jego ciemne, poprzytykane siwizną włosy opadały mu na ramiona. Miał na sobie skromny ciemny ubiór zwykłego duchownego. Nic nie zdradzało zaszczytów i urzędów, którymi nagradzał go Piotr, nic poza ciężkim, wysadzonym szlachetnymi kamieniami krzyżem na piersi arcybiskupa – *panagią**. Teofan Prokopowicz był stary, ale należał do tego rodzaju ludzi, którzy mogliby służyć jeszcze wielu carom. Pokłonił się i podał mi papier. Wsunęłam go w rękaw sukni.

Arcybiskup się wyprostował.

– Caryco, składałam w wasze ręce przyszłość Rosji. – Tętno mi przyspieszyło, gdy zatytułował mnie w ten sposób. Mienszykow też uniósł głowę, czujnie jak myśliwski pies łapiący trop. Zmrużył przy tym oczy.

– Idźcie do domu, Teofanie, i odpocznijcie. Poślę po was, gdy będę was potrzebować. A na razie pamiętajcie, że ostatnie słowa cara znamy tylko my troje – odpowiedziałam. – Mam nadzieję, że będziecie służyć mi przez wiele lat – dodałam. – Nadaję wam Order Świętego Andrzeja i przekazuję majątek pod Kijowem z dziesięcioma, nie, z dwudziestoma tysiącami dusz.

Pokłonił się zadowolony, a ja zaczęłam się szybko zastanawiać, kogo trzeba będzie skazać na zesłanie, żeby skonfiskować jego majątek i przekazać go Prokopowiczowi. W taki dzień jak ten fortuny rodzą się i giną. Skinęłam na służącego, który czekał przy drzwiach. Czy rozumiał nasze szepty? Miałam nadzieję, że nie.

– Każ zaprząć powóz dla Teofana Prokopowicza. I pomóż mu zejść na dół. – I szeptem dodałam: – Żeby nikt z nim nie rozmawiał, jasne?

* Właściwie enkolpion (napierśny krzyż) – medalion lub relikwiarz z wizerunkiem Matki Boskiej.

Pokiwał głową, a długie rzęsy zatrzepotały nad różowymi policzkami. Przystojny był z niego młodzieniec. Jego twarz przypomniała mi nagle oblicze innego. Tego, którego uważałam za najpiękniejszego. Piotr brutalnie to zakończył. A potem rozkazał, by jego głowę, jego słodką głowę, ustawiono obok mojego łóżka w ciężkim szklanym słoju ze spirytusem. Jak jabłka zalane wódką na zimę. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się we mnie smutno, po śmierci usta, kiedyś tak miękkie przy pocałunkach, skurczyły się pozbawione krwi, odsłaniając zęby i dziąsła. Gdy zobaczyłam ten słój po raz pierwszy i przerażona kazałam pokojowej go wynieść, Piotr zagroził mi klasztorem i chłostą. I na jakiś czas słój został.

Teofan Prokopowicz roześmiał się łagodnie, a jego twarz tak się pomarszczyła, że skóra wyglądała jak spieczona latem ziemia.

– Nie martwcie się, caryco. Chodź, chłopcze, podaj ramię staremu człowiekowi.

Wyszli we dwóch na korytarz. Jasne, wąsko skrojone, jedwabne spodnie podkreślały zarys umięśnionych nóg i pośladków służącego. Czy prawdą jest plotka, że Prokopowiczowi podoba ją się młodzi mężczyźni? Cóż – co kto lubi. Zasłoniłam swym ciałem widok na cesarskie łoże. Blade, wystraszone twarze obróciły się, by zajrzeć do komnaty: panowie i służba siedzieli tam niczym króliki w pułapce i wyciągali szyje, oczekując na swój los. Madame de la Tour, chuda francuska guwernantka mojej najmłodszej córki Natalii, przytulała ją mocno do siebie. Zmarszczyłam brwi. W antyszambrze było Natalii o wiele za zimno, a od wczorajszego popołudnia kasłała. Jej starsze siostry Elżbieta i Anna siedziały obok niej, jednak unikałam ich wzroku. Były za młode, jak mogłyby zrozumieć?

Nikt jeszcze nie wiedział, że to ja jestem tą osobą, której powinni się bać. Szukałam w tłumie młodego Pietruszki, wnuka Piotra, oraz książąt Dołgorukich, jego zwolenników, ale nigdzie ich nie było. Przygryzłam wargę. Czyżby zajmowali się knuciem planów przejścia tronu? Powinnam zgarnąć ich jak najszybciej. Pstryknęłam palcami i stojący najbliżej wartownik zamienił się w słuch.

– Poślijcie po tajną radę: hrabiego Tołstoja, barona Ostermanna i Pawła Jagużyńskiego. Pospieszcie się, car chce ich widzieć – rozkazałam głośno, by mieć pewność, że moje ostatnie słowa słyhać było przez całą długość korytarza.

Mienszykow wciągnął mnie z powrotem do sypialni, zamknął drzwi i prychnął z niedowierzaniem w reakcji na moją zuchwałość.

– Chodź – powiedziałam uprzejmie. – Przejdziemy obok, do małej biblioteki.

Mienszykow chwycił z krzesła swój haftowany surdut z zielonego brokatu, w którym trzymał straż przy łożu Piotra przez ostatnie dni i tygodnie. Dzięki jednej srebrnej nici wplecionej w materiał chłopska rodzina utrzymałaby się przez całe dwa lata. Pod ramię wcisnął sobie laskę z galką z kości słoniowej. W ukrytych drzwiach do małej biblioteki Piotra odwróciłam się do medyków.

– Żaden z was nie może opuścić tej komnaty i nikogo nie wolno wam wzywać.

– Ale... – zaczął Blumentrost.

Uniosłam dłoń.

– Nie może się roznieść, że car odszedł. Jeszcze nie.

Piotr pochwaliłby mój ton.

– Jak rozkażecie. – Blumentrost się pokłonił.

– Dobrze. Zapłatę otrzymacie jeszcze dziś. To samo dotyczy waszych kolegów.

Mienszykow lekko się zachwiał. Ten niepewny krok to wynik zmęczenia czy strachu?

Ruszyłam przed nim do przytulnej małej biblioteki. Mienszykow wszedł za mną, ale najpierw złapał wysoką karafkę burgunda, którym się raz po raz częstował, oraz dwa kielichy z weneckiego szkła.

– W takim momencie nie można być ani trzeźwym, ani skąpym – stwierdził z krzywym uśmiechem, po czym zatrzasnął drzwi kopniakiem jak byle karczmarz. Ogień w kominku wygasł, ale wyłożone drewnem ściany zatrzymały jego ciepło. Kolorowe jedwabne dywany, które przywieźliśmy z wyprawy wojennej

do Persji – dołączając do orszaku tuzin wozów z ładunkiem – przedstawiały wszelkie możliwe boskie stworzenia, rośliny i ptaki w ich pełnej krasie. Proste krzesła przy biurku, przy kominku i przy półkach zostały wykonane przez samego Piotra. Słyszałam czasami odgłosy toczenia i stukania w drewno nawet po północy. Stolarka przepędzała jego demony i podsuwała mu najlepsze pomysły, jak mawiał. Jego ministrowie niczego nie obawiali się tak bardzo, jak nocy, którą Piotr spędził na ciesiołce. Zasypiał, wykończony, na roboczej ławie. Tylko Mienszykow był wystarczająco silny, żeby zarzucić sobie cara na plecy i odnieść go do łóżka. Gdybym tam na niego nie czekała, Piotr skorzystałby z brzucha młodego szambelana jako poduszki. Zawsze potrzebował czuć dotyk czyjejs skóry, żeby powstrzymać wspomnienia.

Wysokie okna były przesłonięte przez podbite podszewką zasłony, które nabył jako młody człowiek podczas pobytu w Niderlandach, na długo przed wojną północną, trwającą dwie dekady walką o pokonanie Szwedów i przetrwanie. Półki uginały się pod ciężarem ksiąg, były to ponoć opisy podróży, morskich rejsów, wojen, żywoty władców oraz poradniki rządu i dzieła religijne. Co jakiś czas kartkował każdą z nich. Był to świat, w którym nie mogłam mu towarzyszyć. Zwoje papieru leżały na biurku albo w stosach w kątach biblioteki. Niektóre księgi były drukowane i oprawione w grubą świńską skórę, inne spisano odręcznie w klasztorach.

Na kominku stał model Natalii, fregaty Piotra, jego dumy, a powyżej wisiał portret mojego syna Piotra Piotrowicza. Namalowano go kilka miesięcy przed jego śmiercią, która rozdarła nasze serca. Unikałam tego pomieszczenia przez lata z powodu tego obrazu, był zbyt realistyczny: jakby w każdej chwili mój syn mógł rzucić ku mnie czerwoną skórzaną piłkę, którą trzymał w dłoniach. Jasne loki opadały na białą koronkową koszulę, a uśmiech ukazywał rząd zębów. Oddałabym życie, by mieć go teraz przy sobie, by móc ogłosić go carem Wszechrusi. Wciąż byłby dzieckiem, oczywiście. Ale był synem z naszej krwi, mojej i Piotra. Dynastia. Czy nie tego pragnie każdy władca? A teraz zostały tylko córki i budzący lęk wnuk, mały Pietruszka.

Na myśl o nim aż zaparło mi dech w piersiach. Gdy się urodził, Piotr wziął go w ramiona i odwrócił się od jego nieszczęsnej matki. Biedna Szarlota. Przypominała szlachetnego, płochliwego konia i jak koń została sprzedana przez ojca do Rosji. Gdzie był teraz jej synek? W pałacu Dołgorukich? W koszarach? Tu za drzwiami? Pietruszka miał zaledwie dwanaście lat, a Piotr nie nadał mu nawet tytułu carewicza, mimo to bałam się go bardziej niż diabła.

– Dobrze zrobiłaś, wzywając radę i pozbywając się tego starego głupca Teofana – przyznał Mienszykow.

Odwróciłam się ku niemu.

– To my jesteśmy głupcami. Mam nadzieję, że dotrzyma słowa.

– A co ci obiecał? – zapytał zaskoczony Mienszykow.

– Właśnie! Słyszysz tylko te słowa, które padają, a przecież powiedziano o wiele więcej. – Chwyciłam go za kołnierz koszuli i syknęłam: – Płyniemy w jednej łodzi. Niech Bóg ma nad tobą litość za każdą sekundę, którą teraz marnujesz. Nie widziałam w antyszambrze ani Pietruszki, ani jego uroczych przyjaciół, a ty? Dlaczego prawowitego następcy władcy imperium rosyjskiego nie ma tutaj, przy łożu śmierci swojego dziadka, gdzie jego miejsce?

Mienszykow miał niepewną minę. Otarł sobie czoło.

– Bo jest z żołnierzami w carskich koszarach, którzy zaraz porwą go na ramiona i zaczną wiwatować na jego cześć, gdy tylko dowiedzą się, że car nie żyje. Co się wtedy stanie z nami? Czy Pietruszka zapomniał o ludziach, którzy podpisali wyrok na jego ojca, choćby krzyżykiem przy swoim imieniu, bo nie potrafia pisać?

Puściłam go. Mienszykow napełnił sobie ponownie kielich i pociągnął długi łyk wina. Silne, ozdobione ciężkimi pierścieniami palce drżały. Wrodzoną przebiegłość Mienszykova przystępilo zmęczenie, lecz ja z nim jeszcze nie skończyłam.

– Według nich Syberia to będzie dla nas za mało. Dołgorucy rozsypią nasze prochy na wietrze. Tylko my wiemy, że car nie żyje – szepnęłam. – To daje nam czas.

Czas, który może nas uratować. Nie zdołamy długo utrzymać śmierci cara w tajemnicy, najwyżej do rana, gdy ołowiany świt wstanie nad miastem Piotra.

Mienszykow, człowiek, który wygrał tyle bitew i który nie jeden raz wyratował swój kark z katowskiej pętli, wydawał się oszołomiony. Mój strach był zaraźliwy. Mienszykow siedział głęboko w jednym z foteli, które Piotr sprowadził z Wersalu, i wyciągnął daleko swe wciąż zgrabne nogi. Cud, że ten delikatny mebel był w stanie unieść jego ciężar! Wypił kilka łyków wina, a potem pokręcił kielichem z barwionego szkła na tle płomieni. Ogień podkreślił gładką, kolorową powierzchnię naczynia, sprawiając, że wyglądało jak napełnione krwią. Usiadłam naprzeciwko. To nie była pora na zabawy w picie.

Mienszykow uniósł żartobliwie kielich w moją stronę.

– Twoje zdrowie, Katarzyno Aleksiejewna. Warto było sprezentować was carowi, moja pani. Twoje zdrowie, moja największa strato. Twoje zdrowie, moja największa korzyści. – Nagle zaczął śmiać się tak gwałtownie, że peruka zsunęła mu się na oczy. Przypominało to wycie wilków zimą: wysoki, pełen pogardy dźwięk. Mienszykow ściągnął perukę i cisnął ją w kąt. Spokojnie przyjął tę bezczelność, choć Piotr kazałby go za to wybatożyć. Mienszykow cierpiał jak pies: umarł jego pan, który był też jego miłością. Co mu teraz pozostało? Cierpienie czyniło go nieprzewidywalnym. A ja desperacko go potrzebowałam. Jego, tajnej rady oraz wojska. Ostatnia wola cara tkwiła wsunięta w mój rękaw. Twarz Mienszykova była czerwona i opuchnięta pod rozwichrzoną czupryną, jego włosy wciąż były koloru ciemnoblonde. Przestał się śmiać i patrzył na mnie znad krawędzi kielicha niespokojnym wzrokiem.

– Oto i my. Cóż za niezwykle miałaś życie, moja pani. Wyjaśnić je można jedynie wolą Boga.

Pokiwałam głową. To właśnie mówią o mnie na wszystkich dworach Europy. Moje pochodzenie to ciągle krążący dowcip, który rozbawia ambasadorów, wprawiając ich w dobry nastrój. Lecz dla Piotra wszystko to, czego pragnął w danej chwili, było zwyczajne, więc nic nie było niezwykle.

Kielich wysunął się Mienszykowowi z palców, podbródek opadł na pierś, a wino się rozlało, pozostawiając dużą czerwona płamę na białej koronkowej koszuli i błękitnej kamizelce. Wykończyły go ostatnie tygodnie, dni i godziny. Wkrótce zaczął chrapać i osunął się w fotelu bezwładny niczym szmaciana lalka. Mogłam pozwolić mu na moment odpoczynku, zanim przybędą Tołstoj i tajna rada. Wtedy zostanie odniesiony do swego pałacu, by odespać kaca. Mienszykow posiadał już Order Świętego Andrzeja, a także o wiele więcej dusz i tytułów, niż mogłabym mu podarować. Nie byłam w stanie nic mu obiecać. Musiał zostać z własnej woli. „Nic nie łączy ludzi mocniej niż lęk o własne przetrwanie, Katarzyno” – jakbym słyszała głos Piotra.

Podeszłam do okna, które wychodziło na wewnętrzny dziedziniec. Złote ikonki przyszyte do rąbka mojej sukni pobrzękiwały przy każdym kroku. Gdy podczas naszej wizyty w Berlinie mała księżniczka pruska Wilhelmina zobaczyła, jak się ubieram, roześmiała się głośno:

– Imperatorowa Rosji wygląda jak żona grajka!

Odsunęłam ciężką zasłonę, która chroniła przed atramentowym chłodem zimowej nocy w Sankt Petersburgu. Nasze miasto, Piotrze, nasze marzenie! Prospekt Aleksandra Newskiego i Nową spowijała teraz ciemność, która ciebie już na zawsze objęła swoimi ramionami. Skrywała zapierającą dech w piersiach urodę tego, co stworzyłeś: mroźny zielonkawy odcień fal idealnie łączący się z tęczowymi barwami gładkich fasad obu pałaców i budynków, zupełną nowość dwadzieścia lat temu. Miasto, które wzniosłeś na mokradłach, potęgą swej niesamowitej woli i cierpieniem setek tysięcy swoich poddanych, i szlachty, i chłopów. Kości robotników przymusowych leżą pogrzebane w bagnistej ziemi niczym fundamenty. Mężczyźni, kobiety, dzieci, bezimienni i pozbawieni twarzy, któż pamięta o nich w obliczu takich wspaniałości? Jeśli Rosja cierpi na nadmiar czegokolwiek, to właśnie ludzkiego życia. Poranek wstanie mizerny i chłodny, ale później jasna, równa fasada pałacu odbije błądź dnia. To ty zważyłeś tutaj światło, Piotrze, to ty dałeś mi tu dom. Co się teraz stanie? Pomóż mi...

Światła świec poruszały się w oknach eleganckich wysokich domów, migotały w pokojach i korytarzach, jakby niesione ręką ducha. Na dziedzińcu w dole stał przygarbiony i wsparty o bagnet wartownik, gdy nagle ze stukotem podków i iskrami tryskającymi z twardych kocich łbów minął go pędem jeździec, który wypadł przez bramę. Zacisnęłam palce na zamku okna. Czy lekarze posłuchali mojego rozkazu? Czy też jeździec pognał, by potwierdzić to, co niewyobrażalne? Co mnie teraz czeka? *Wolja* – ogromna, bezgraniczna władza – czy też zesłanie i śmierć?

Zaschło mi w ustach ze strachu. Uczucie, które ścisła żołądek w węzeł, wypływa zimnym i gorzkim potem i przewraca wnętrzości. Nie czułam go od chwili, gdy... Dość, nie wolno mi teraz myśleć o tych sprawach. Ja umiałam skupić się tylko na jednej rzeczy, choć Piotr zonglował pomysłami i planami jak akrobata.

Mienszykow mamrotał coś przez sen. Żeby tak Tołstoj i tajna rada wreszcie nadeszli! Całe miasto jakby zamarło w oczekiwaniu. Obgryzałam paznokcie, aż poczułam smak krwi.

Usiadłam z powrotem blisko ognia i zsunęłam pantofle, sztywne od haftów i szlachetnych kamieni. Ciepło kominka sprawiło, że poczułam dreszcz na skórze. Luty był jednym z najzimniejszych miesięcy w Sankt Petersburgu. Może powinnam kazać przynieść sobie grzańca i obwarzanki zamiast burgunda? To zawsze szybko stawiało mnie na nogi. Czy Piotrowi w komnacie obok było dość ciepło? Nie znosił chłodu i zawsze marzył na polu bitwy. Nie ma nic mroźniejszego niż poranek po bitwie, czy to przegranej, czy zwycięskiej. Mogłam go ogrzać tylko nocą, kiedy szukał schronienia w zagłębieniach mego ciała.

Ludzie, którzy śpią, wyglądają albo śmiesznie, albo wzruszająco. Mienszykow chrapiący z otwartymi ustami był tym drugim przypadkiem. Wysunęłam testament Piotra z rękawa i położyłam go sobie na udach, tak blisko ognia. Litery rozmywały się przez napływające mi do oczu łzy: prawdziwe i szczere, pomimo uczucia ulgi. Przedemną jeszcze długi dzień i jeszcze dłuższe tygodnie, i będę musiała uronić jeszcze wiele łez. Lud i dwór chcą zobaczyć rozpaczającą wdowę z potarganymi włosami,

rozdrapanymi policzkami, z łamiącym się głosem i opuchniętymi oczami. Jedyne pokaz miłości i rozpacz z mojej strony mógł uczynić coś niewyobrażalnego akceptowalnym, moje łzy były potężniejsze niż jakiegokolwiek związku krwi. Mogłam więc równie dobrze zacząć płakać już teraz. Nietrudno było wywołać łzy: za kilka godzin albo będę martwa, czy też będę tego pragnąć, albo zostanę najpotężniejszą kobietą Wszechrusi.

I MOJE ŻYCIE ZACZĘŁO SIĘ od zbrodni. Oczywiście nie mam na myśli chwili swoich narodzin ani lat dziecięcych. O życiu chłopca pańszczyźnianego, duszy, lepiej nie wiedzieć nic, niż wiedzieć tylko trochę. My, Niemcy, niemieckie dusze stanowiące własność cerkwi rosyjskiej, byliśmy udręczeni ponad wszelkie wyobrażenie. Zapomniane przez Boga miejsce, gdzie dorastałam, zgubiło się dziś gdzieś pośród bezkresów Inflant: wioska i kraj, które już nie istnieją. Czy tamtejsze nędzne chaty jeszcze stoją? Nie wiem i nie dbam o to. Jednak gdy byłam młoda, owe izby*, które układały się wzdłuż czerwonej wiejskiej drogi jak paciorki mniszego różańca, były całym moim światem. Te chaty, a także cały świat, nazywaliśmy tym samym słowem: *mir*. Nasza wioska wyglądała dokładnie tak samo jak inne wioski w szwedzkiej części Inflant, jednego z nadbałtyckich terytoriów pod rządami Sztokholmu, gdzie w tamtych czasach Polacy, Łotysze, Rosjanie, Szwedzi i Niemcy żyli razem, mniej lub bardziej pokojowo.

Przez cały rok droga przez wieś podtrzymywała nasze życie niczym pas luźny sarafan**. Po wiosennych roztopach albo podczas pierwszych ulew jesienią brodziliśmy po kolana w błocie o barwie wołowej krwi z izby na pola i w dół do Dźwiny. Latem ziemia zmieniała się w chmury czerwonego pyłu, który wżerał się w popękana skórę naszych pięt. A zimą przy każdym kroku zapadaliśmy się po uda w śniegu albo sunęliśmy do domu po lodzie gładkim jak lustro. Po drogach błąkały się kury i świny, z piórami i szczecina oblepionymi brudem. Dzieci z matowymi, zawszonymi włosami bawiły się, dopóki nie dorosły do pracy, wtedy chłopcy stawali na polach i przeganiali za pomocą grzechotek, kamieni i kijów dzikie ptaki, a dziewczęta pracowały przy klasztornych krosnach, wyrabiając swymi delikatnymi palcami najcieńsze tkaniny. Ja sama pomagałam w kuchniach, odkąd skończyłam dziewięć lat. Od czasu do czasu przez wioskę przetaczał się załadowany wóz, do którego zaprzężone były

* Izba – po ros. chata.

** Sarafan – rosyjski kobiecy strój ludowy, rodzaj długiej sukni z wysoką talią, bez rękawów albo z wszytymi rękawami z tkaniny białoznianej.

konie o długich grzywach i ciężkich kopytach. Zostawiał towary w klasztorze i zabierał inne, przeznaczone na targ. Poza tym działa się niewiele.

Pewnego kwietniowego dnia, tuż przed Wielkanocą – w roku 1698 według nowego kalendarza, który car narzucił swoim poddanym – szłam tą drogą z moją młodszą siostrą Krystyną w kierunku pól nad rzeką. Czyste powietrze pachniało największym cudem naszej nadbałtyckiej krainy. To była *ottiepiel*, czyli odwilż. Krystyna tańczyła: wirowała po kole, klaszcząc, jej ulga, że oto następuje koniec zimowych ciemności i chłodu, była niemal namacalna. Próbowałam niezręcznie do niej dołączyć – nie upuszczając stosu prania, które niosłam – ale mi umknęła.

Przez całą zimę życie w mirze zamierało, było niczym płytki oddech niedźwiedzia, który aż do wiosny zużywa zapasy tłuszczu zgromadzone pod futrem. Podczas tej długiej pory roku ołowiane światło zasnuwało mgłą nasze umysły; zapadliśmy w pełen apatii mrok, przesycony kwasem. Nikogo nie było stać na wódkę, ale gorzkawy, drożdżowy napój na starym chlebie był równie upajający. Żywiliśmy się ziarnem – owsem, żytem, jęczmieniem, pszenicą i orkiszem, z których piekliśmy przaśne placki albo pasztety w świąteczne dni, gdy wałkowaliśmy je coraz cienie, a potem napelnialiśmy marynowanymi warzywami i grzybami. Gotowaną kaszę słodziliśmy miodem i suszonymi jagodami albo doprawialiśmy skwarkami i kapustą. Jesienią przygotowywaliśmy ogromne ilości kapusty, krojąc ją, soląc i ugniatając, a potem jedliśmy ją codziennie. Każdej zimy myślałam, że zwymiotuję, jeśli jeszcze raz będę musiała zjeść kiszoną kapustę, ale zawdzięczaliśmy jej życie. Pomagała nam znieść ziąb, przy którym ślina zamarza w gardle, zanim człowiek zdąży ją odcharknąć.

Gdy śnieg i mróz stawały się nie do wytrzymania, zaczynały powoli zanikać. Najpierw robiło się trochę dłużej jasno albo gałązki prostowały się pod lżejszą warstwą śniegu. A potem w nocy budził nas ogłuszający huk kry pękającej na Dźwinie: woda tryskała, wolna i dzika, porywając z nurtem olbrzymie kawały lodu. Nic nie mogło oprzeć się jej potężde, nawet najmniejsze

strumyki wzbierały i występowały z brzegów, a silne, łuskowate ryby Dżwiny same wskakiwały do naszych sieci. Po krótkiej pachnącej wiośnie następowały gorączkowe miesiące lata i nasz świat był pijany płodnością i wigorem. Listowie na drzewach było gęste i soczyste; motyle zataczały się w powietrzu; oszłomione pszczoły miały odnóża ciężkie od pyłku, ale zbyt się spieszyły, by pozostać na jednym kwiatku. Nikt nie spał podczas białych nocy; nawet ptaki śpiewały cały czas, nie chcąc tracić ani chwili zabawy.

– Myślisz, że na rzece wciąż jest lód, Marto? – zapytała zaniepokojona Krystyna, zwracając się do mnie imieniem, pod którym mnie wtedy znano. Ile razy zdążyła już o to zapytać, odkąd wyszliśmy z domu? Następnego dnia miał się odbyć wiosenny targ i tak jak ona pragnęłam zeskrobać z siebie odór dymu, jedzenia i ponurych zimowych miesięcy, wyczekując najjaśniejszego wydarzenia roku. Będą wspaniałe widoki, pyszne jedzenie – na coś na pewno będzie nas stać – i zjadą się wszyscy mieszkańcy okolicznego miru, a może też jakiś nieznamy przystojniak – taka myśl z pewnością nie była obca Krystynie.

– Ścigamy się? – zapytała ze śmiechem. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, już pobiegła, ale ruszyłam za nią i dogoniłam tuż przed tym, jak się potknęła i zachwiała. Krzyknęła i wskoczyła na mnie niczym chłopak ujeżdżający na targu byka i zaczęła okładać pięściami. Straciłam równowagę i obie przewróciłyśmy się na brzeg, na którym kwitły już pierwiosnki i gęsiówka. Ostre źdźbła młodej trawy łaskotały mnie w nagie ramiona i nogi, gdy próbowałam wstać. Och, cudownie: ubrania rozsypały się po zakurzonej drodze. Teraz to naprawdę nadawały się już tylko do prania. Przynajmniej mogłyśmy to zrobić w rzece; jeszcze parę tygodni temu musiałam rozbijać pałką lód w korycie za izbą i odsuwać bryły lodu, gdy tarłam odzież. Dłonie zrobiły mi się sine od zimna, a odmrożenia są bolesne i wolno się goją.

– Chodź, pomogę ci – powiedziała Krystyna, zerkając do tyłu na wieś. Nie widać nas było z izby.

– Nie musisz mi pomagać – odpowiedziałam, choć ubrania ciążyły mi na ramieniu.

– Nie wygłupiaj się. Im szybciej wszystko upierzemy, tym wcześniej będziemy się mogły wykąpać.

Siostra zabrała połowę prania z mego ramienia. Zwykle nie dzieliłyśmy się obowiązkami, bo Krystyna była córką Tani, żony mojego ojca. Ja urodziłam się dziewięć miesięcy po letnim przesileniu dziewczynie z sąsiedniej wsi. Ojciec był już zaręczony z Tanią, gdy moja matka zaszła w ciążę i nie zmuszono go, by się z nią ożenił. O takich sprawach decydowali ostatecznie mnisi, a oni oczywiście woleli ożenić mojego ojca z jedną ze swoich dziewcząt. Gdy moja matka umarła podczas porodu, Tania mnie przyjęła. Nie miała wyboru: rodzina mojej matki stanęła w progu izby i podała jej tobolek z noworodkiem. Zostawiliby mnie na skraju lasu na pastwę wilków, gdyby odmówiła. Tania tak naprawdę nie traktowała mnie jakoś bardzo źle. Wszyscy musieliśmy ciężko pracować, a ja dostawałam swoją część jedzenia. Ale często była wredna, ciągnęła mnie za włosy i szczypała w ramię za najdrobniejsze przewinienie.

– Masz w sobie złą krew. Twoja matka rozkładała nogi przed każdym. Kto wie, czyja naprawdę jesteś? – mówiła, gdy była w złym humorze. – Spójrz na siebie. Te zielone, skośne oczy i włosy czarne niczym skrzydło kruka. Lepiej uważaj!

Gdy ojciec ją słyszał, nic nie mówił, tylko wyglądał na jeszcze smutniejszego niż zwykle. Przygarbił się od pracy na klasztornych polach. Śmiał się bezzębnie tylko wtedy, gdy wypił kilka kubków kwasu, który budził w jego zapadniętych oczach przegaszone światło.

Zanim wróciłyśmy, Krystyna wzięła mnie pod ramię i obróciła w stronę słońca.

– Raz, dwa, trzy, kto dłużej wytrzyma, patrząc na słońce? – rzuciła bez tchu. – Dalej, nawet jeśli wypali ci powieki! Między mroczkami, które zatańczą ci przed oczami, ujrzysz mężczyznę, za którego wyjdiesz za mąż!

Jakże mocno pragnęłyśmy go wtedy poznać: o północy zapaliłyśmy trzy cenne świece wokół miski z wodą i otoczyłyśmy je

kręgiem z węgla. Patrzyłyśmy i patrzyłyśmy, lecz powierzchnia wody nigdy nie odbijała innych twarzy poza naszymi. W każde letnie przesilenie zrywałyśmy siedem rodzajów dzikich kwiatów i wsuwałyśmy bukiety pod poduszki, by zwabić naszych przyszłych mężów do naszych snów. Czułam ciepło popołudniowego słońca na twarzy i widziałam wirujące plamki pod powiekami. Pocałowałam Krystynę w policzek.

– Chodźmy – powiedziałam, tęskniąc do ciepłych skał na brzegu. – Chcę wyschnąć, jak już się wykąpiemy.

Wśród zgiętych wpol chłopów na polu zauważyłam ojca. Tylko część ziemi uprawiano wiosną, na pierwsze zbiory. Latem na drugiej części sadzono rzepę, buraki i kapustę, wszystko to, co można zbierać nawet zimą, gdy zamarza ziemia. Ostatnia część ziemi leżała odłogiem aż do następnego roku, kiedy zasiewy zmieniano. Czas na przygotowanie zapasów na resztę roku był krótki i kilka zmarnowanych dni mogło oznaczać potem głód. W sierpniu mój ojciec spędzał na polu nawet osiemnaście godzin dziennie. Nie, nie kochaliśmy ziemi, która nas karmiła: była bezlitosną panią, karzącą nas za najmniejszy błąd. Sześć dni tygodnia należało do klasztoru, siódmy do nas. Lecz obowiązki wobec Boga też nie pozwalały nam, duszom, wtedy odpocząć. Mnisi w długich ciemnych habitach chodzili tam i z powrotem między robotnikami, bacznie pilnując klasztornej własności: zarówno ziemi, jak i pracujących na niej ludzi.

– Jak myślisz, co taki mnich ma pod habitem? – zapytała Krystyna z szelmowskim błyskiem w oku.

Wzruszyłam ramionami.

– Niewiele, w przeciwnym razie widać by było przez materiał.

– Szczególnie na twój widok – odpowiedziała.

Jej uwaga przypomniała mi obraźliwe słowa Tani.

– Co masz na myśli? – zapytałam krótko.

– Czy ty nie jesteś ode mnie starsza, Marto!?! – zawołała. – Nie mów, że nie zauważyłaś, jak mężczyźni na ciebie patrzą. Wszyscy będą chcieli tańczyć z tobą na targu i nikt nie zwróci na mnie uwagi.

– Bzdura! Wyglądasz jak anioł. Jak anioł, który koniecznie powinien się wykapać. Chodź!

Nad rzeką odnalazłyśmy pływającą, którą odkryłyśmy w zeszłym roku. Wąska ścieżka wiła się w dół przez brzozy zagajnik i niskie zarośla. Na gałązkach pojawiły się już pąki, wkrótce zakwitną tu kosańce i przytulie. Nad wodą podzieliłam pranie, odkładając wszystkie dobre męskie lniane koszule i spodnie na jedną stronę, a sarafany i lniane tuniki, które kobiety nosiły od święta, na drugą. Spędziłyśmy wiele długich zimowych wieczorów na haftowaniu barwnych motywów kwiatowych na szerokich kołnierzach. Może uda się jutro na targu wymienić wyrzeźbione przez ojca wyroby – małe fajki, miski, łyżki i kubki – na nowe nici. Związałam włosy w luźny węzeł, żeby nie wpadały do brudnej piany, i owinęłam głowę wypłowiałą chustką dla ochrony przed słońcem. A potem związałam szeroką spódnicę sarafanu w kolanach, choć materiał miał podszewkę i podbitkę dla ochrony przed chłodem, i ściągnęłam długie tasiemki wszyte w szwy rękawów, ściskając materiał w niezliczoną liczbę fałd. Z daleka musiałam wyglądać jak chmura na długich, gołych nogach.

– Zaczynamy.

Sięgnęłam po pierwszą sztukę odzieży, a Krystyna podała mi kosztowne mydło. Zanurzyłam tarkę w przejrzystej wodzie i z wysiłkiem tarłam mydłem po jej ostrych żebrach, aż pokryła się grubą śliską warstwą. Wytwarzanie mydła to ciężka praca. Boli potem całe ciało. Zwykle Tania kazała mi to robić jesienią, gdy mnisi zarzynali zwierzęta, by marynować, wędzić i solić mięso na zimowe zapasy i mieli na zbyciu kości, albo na wiosnę, gdy używało się popiołów zgromadzonych przez zimę. Wszystkie kobiety pomagały mieszać deszczówkę i popiół z tłuszczem i zmielonymi kośćmi, by powstał żrący ług, który gotowało się godzinami w wielkich kotłach. Szara, oślizgła breja z wielkimi, gorącymi bąblami, które wybuchały na powierzchni z głośnym trzaskiem, gęstniała powoli z godziny na godzinę. Musiałyśmy mieszać ją nieustannie, aż miałyśmy wrażenie, że ramiona nam zaraz odpadną. Wieczorem wlewałyśmy płynne mydło do

drewnianych form. Jeśli mogłyśmy sobie pozwolić na sól, by ją dodać, powstawały porządne kawałki mydła. Lecz zazwyczaj sól potrzebna była dla zwierząt albo do marynowania mięsa i kapusty na zimę, więc nasze mydło było raczej bieżą, którą dodawało się do wody do prania.

Rzeka lśniła, a my z Krystyną szybko pracowałyśmy: perspektywa kąpeli sprawiała, że sprawnie moczyłyśmy ubrania w wodzie, mocno je tarłyśmy i obijałyśmy o płaskie kamienie.

– Wyobraź sobie, że to opat – podpuściłam Krystynę, żeby uderzała mocniej. Odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała, a jej związane w węzeł jasne włosy się rozsypały. Wyżełyśmy ubrania i rozwiesiłyśmy je do wyschnięcia na niskich gałęziach wzdłuż brzegu.

– Gotowa? Raz, dwa, trzy! – zawołała, gdy ja jeszcze strzepywałam i wygładzałam ostatnią koszulę.

Rozsupłała pasek, w biegu ściągnęła przez głowę prosty sarafan razem ze skromną tuniką i stanęła naga w wiosennym słońcu. Jakże była ode mnie inna. Skóra Krystyny była jasna jak śmietana, ciało szczupłe, z wąskimi biodrami i wysoko umieszczonymi drobnymi piersiami, które przypominały pąki i idealnie zmieściłyby się w jej dłoni. Brodawki wyglądały jak malutkie maliny. Już mogłaby urodzić dziecko, zaczęła krwawić w zeszłym roku. Ja natomiast – cóż, Tania zapewne miała rację, twierdząc, że wyglądam jak moja matka. Włosy miałam gęste i czarne, a skórę barwy dzikiego miodu – albo zasuszonych glutów, jak zwykła mawiać Tania. Moje biodra były szerokie, nogi długie i silne, a piersi duże i twarde.

Krystyna pluskała się w płytkim nurcie tuż przy brzegu. Jej głowa pojawiała się i znikła między skałami, pośród których zgromadziła się woda. Piasek na dnie rzeki połyskiwał bielą między jej stopami, kiedy stanęła.

– Chodź, na co czekasz? – Roześmiała się, a potem zanurkowała głową i pozwoliła, by prąd porwał ją na głębokości. Rozebrałam się najszybciej, jak mogłam, rozpuściłam włosy i popędziłam za nią. Rozpryskiwałyśmy wodę, zanurzałyśmy się i – coś rozkosznie zabronionego! – szorowałyśmy się drogocennym

mydłem. Otwierałam oczy pod wodą, łąpałam wodne ślimaki, urwałam ostrą trzcinę z brzegu, by spróbować upolować węgorza, i szczypałam Krystynę za palce stóp, udając, że jestem rybą – wszystko, byle pośmiać się po ponurych zimowych miesiącach!

Woda wciąż była lodowata. Ja wyszłam pierwsza i natychmiast dostałam gęsiej skórki. Potrząsnęłam głową, a krople wody z włosów zamigotały w słońcu, zanim zwinęłam je w węzeł.

– Lepsze niż bania – zachichotała Krystyna, wciąż unosząc się na płyciźnie. – Tutaj przynajmniej nikt nie chłoszcze nas witkami, aż wszystko boli i niemalże krwawi.

– Och, mogę się tym zająć – odpowiedziałam, urywając gałąź krzewu. Krystyna pisnęła i zanurzyła się pod wodę. I wtedy dotarły do nas te dźwięki: rzenie koni, kamienie zgrzytające pod kołami wozu, męskie głosy.

– Zostań w wodzie – przykazałam Krystynie, a sama spojrzałam na drogę. Trzech jeźdźców otaczało wóz okryty jasnym płótnem. Woźnica ściągnął lejce, by zatrzymać konie. Mimo dzielącej nas odległości poczułam, że mi się przygląda, i pożalowałam, że nie zdążyłam sięgnąć po swój sarafan.

– Kto to? – szepnęła Krystyna, pływając w wodzie tam i z powrotem.

– Ćśśś! Nie wiem. Zostań tam!

Zaniepokojona zauważyłam, że woźnica zsiada z wozu i rzuca lejce jednemu z towarzyszy. Doliczyłam się trzech uzbrojonych ludzi, kiedy on ruszył wąską ścieżką do brzegu w naszym kierunku. Podbiegłam do krzewu, gdzie suszył się mój czysty sarafan. Wciąż był wilgotny, ale i tak go włożyłam. Ledwo zdołałam zasłonić nim uda, gdy mężczyzna pojawił się tuż przede mną.

Musiał być w tym samym wieku co mój ojciec, ale z pewnością nigdy tak ciężko nie pracował. Przy długim rosyjskim płaszczu miał ciemny futrzany kołnierz, a jego spodnie uszyte były z miękkiej skóry i przytrzymał je bogato haftowany pas. Wysokie buty były brudne i ubłocone. Osłoniłam oczy dłonią. Pot lśnił na jego czole, choć jego twarz osłaniała płaska czapa z bobrowego futra. Miał długą brodę, tak nosili się w tamtych

czasach wszyscy Rosjanie. Obrzucił mnie wzrokiem od góry do dołu, a potem zdjął rękawiczki. Na krótkich i grubych palcach miał kilka pierścieni z kolorowymi kamieniami. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, nawet opat nie nosił tak dużo biżuterii. Cofnęłam się o krok. Ku memu przerażeniu ruszył ku mnie.

– Czy możesz mi wskazać drogę do klasztoru, dziewczyno? – zapytał szorstkim niemieckim.

Miał wszystkie zęby, ale jego dżiąsła były ciemnoczerwone od żucia tytoniu i cuchnął potem po długiej jeździe. Jednak niegrzecznie byłoby się skrzywić i urazić nieznanego podróżnego, więc stałam tam tylko jak kolek, a on cały czas mi się przyglądał. Czułam, że moje piersi zaznaczają się pod cienkim, mokrym płótnem. Gdy włosy zaczęły wysuwać mi się z węzła, instynktownie sięgnęłam, by je poprawić, a wtedy suknia osunęła się, odsłaniając moje ramię.

Mężczyzna przesunął językiem po wargach, co przywiodło mi na myśl węża, którego razem z moim bratem Fiodorem zauważyliśmy zeszłego lata w chwastach na grządce z warzywami. Był bladezielony i widzieliśmy, jak jego wnętrzości lśnią ciemno pod napiętą skórą. Pełznął ku nam, z początku powoli. Fiodor, choć był mniejszy, zasłonił mnie sobą. Gad wyglądał na jadowitego, jednak mój brat pochylił się i podniósł ciężki kamień. W chwili, gdy wąż rzucił się do przodu z rozwartymi szczękami, Fiodor zmiażdżył mu głowę. Truchło węża poruszało się jeszcze przez jakiś czas, skrzęcając się i wijąc.

Gdy mężczyzna podszedł kolejny krok bliżej, Krystyna krzyknęła od strony wody:

– Marto, uważaj!

Odwrócił głowę, a ja pochyliłam się, by podnieść omszały kamień. Może i byłam dziewicą, ale doskonale wiedziałam, czego chce. Mieliśmy przecież z tyłu na podwórzu koguta i kury, a mój ojciec musiał przytrzymywać klacze dla ogierów w klasztornych stajniach. Poza tym w izbach, gdzie całe rodziny spały razem na zapiecku, gdzie łączyły się ciała i oddechy, nie było miejsca na intymność. Wiedziałam, czego on chce, i nie miałam zamiaru mu tego dać.

– Klasztor jest tam dalej, prosto tą drogą. Dotrzecie tam prędko, jeśli się pospieszycie! – powiedziałam grzecznie, choć zdradzał mnie drżący głos.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko zbliżył się o kolejny krok.

– Twoje oczy mają taki sam kolor jak rzeka. Co jeszcze można w tobie odkryć? – zapytał.

Dzielił nas od siebie zaledwie oddech.

Wyprostowałam się i syknęłam:

– Jeśli podejdziesz jeszcze bliżej, roztrzaskam ci czaszkę i ugotuję pasztet z twojego mózgu. Wracaj do swojego wozu i jedź do tych przeklętych mnichów. – Groźnym gestem zważyłam kamień w dłoń. Kątem oka widziałam, że trzech jego towarzyszy zsiada z koni, przeciąga kończyny po długiej jeździe i pozwala koniom się popaść. Przygryzłam wargę. Jeden czerep roztrzaskam, ale nie mamy szans z czterema mężczyznami. Serce waliło mi w piersi, gdy starałam się nie ulec przerażeniu z powodu tego, co może się wydarzyć. Pierwszy z pozostałych mężczyzn chyba zamierzał ruszyć ścieżką. Nieznajomy uśmiechnął się pod nosem, pewien łatwego zwycięstwa. Krystyna szlochała w wodzie, a ten dźwięk wywołał we mnie wściekłość: gniew połączony z siłą i odwagą.

– Wynos się stąd, Rosjaninie! – prychnęłam na niego, a on się zawahał. A potem nagle uniósł dłoń, powstrzymując drugiego mężczyznę. I uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Na Boga, dziewczyno, rozbawiasz mnie. Jeszcze się zobaczymy, a wtedy będziesz dla mnie miłsza.

Wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć moich włosów. Krystyna krzyknęła. Ja splunęłam mu pod stopy. Jego oblicze przybrało twarde wyraz.

– Poczekaj – zagroził. – Marta, tak? Tak cię nazwała ta mała kokietka w wodzie?

Oniemiałam ze strachu, gdy się odwrócił i ruszył w górę brzegu. Dopiero gdy popędził konie, strzelając z bata, a tętęt podków i turkot kół ucichły, zaczerpnęłam tchu i wypuściłam kamień z lepkich, mokrych od potu palców. Nogi się pode mną ugięły i roztrzęciona osunęłam się na szorstki, szary piach.

Krystyna wyszła z wody; objęła mnie ramionami i mocno się do siebie przytuliłyśmy, aż trzęsłam się już tylko z zimna, a nie ze strachu. Krystyna gładziła mnie po włosach i szepnęła:

– Jesteś taka dzielna, Marto. Nigdy nie odważyłabym się grozić mu takim małym głupim kamykiem.

Spojrzałam na kamień u moich stóp. Rzeczywiście wyglądał na mały i głupi.

– Myślisz, że jeszcze go spotkamy? – zapytała, gdy ja się podnosiłam. Zatraskana przygryzłam wargę. Zapytał mnie o drogę do klasztoru, do którego wszyscy należeliśmy: nasza izba, nasza ziemia, suknia na moim grzbiecie, my sami. Odpędziłam od siebie tę myśl.

– Bzdura – powiedziałam, mając nadzieję, że w moim głosie zabrzmie pewność, której mi brakowało. – Nigdy już tego tłuszciocha nie ujrzymy. Oby spadł z wozu i skreślił sobie kark.

Spróbowałam się rozeźmiać, ale nie mogłam. Krystyna też nie wyglądała na przekonaną. Chmury zasłoniły słońce, nadając przedwcześnie światłu odcień wieczornego błękitu. Drżałam w mokrej sukni, która znowu była brudna. Kłopot – będę ją musiała uprać jutro, z samego rana przed targiem. Otrzepałam sobie piach i kamyczki z kolan.

– Chodźmy.

W milczeniu ubrałyśmy się i zebrałyśmy wciąż wilgotne pranie, by rozwiesić je nad piecem w domu. Przez to powietrze w chacie będzie jeszcze bardziej wilgotne i pogorszy kaszel Fiodora.

– Nikomu o tym nie powiemy, dobrze? – zasugerowałam Krystynie, licząc na to, że sama przed sobą będę mogła udawać, że do spotkania nad rzeką nigdy nie doszło. Jednak w głębi serca czułam, że to nie koniec. Nic na tym świecie nie dzieje się bez powodu. Tego popołudnia moje życie zmieniło swój bieg jak wiatrowskaz na dachu klasztoru, który obraca się przy pierwszym podmuchu naglej burzy.